Nr. 31. (nadzwyczajny — dodatkowy) Lwów, — 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo illustrowane.

Od Redakcji.

Nr. 32. główny, który dołącza się do tego numeru — jest cały *illustrowany* i poświęcony *Rocznicy 29. listopada 1830—31 r.* Również dołącza się Nr. 30. nadzwyczajny dodatkowy.

W kraju Irokezów.

Na mocy układu dobrowolnego irokezi odstąpili okręg, w którym zamieszkiwali, rządowi Stanów Zjednoczonych i znaczne obszary ziemi zamieszkałej dotychczas przez indjan, są obecnie dostępne dla kolonistów.

Już w New-Yorku w biurach, gdzie wydawano certyfikaty wszystkim, pragnącym osiedlić się na dawnych siedzibach irokezów, zaszły nieporządki, podczas których wielu ludzi ograbiono, a wielu odniosło ciężkie rany. Gorsze sceny wydarzyły się na granicy nowonabytego terytorjum, szczególniej w mieście Orlando, gdzie doszło do poważnych bójek i rozruchów, Gdy pierwszy pociąg stanął na granicy, strzeżanej przez żołnierzy, niezwłocznie rozpoczęły się sceny w wysokim stopniu wstrętne. Tysiące kobiet i mężczyzn z dzikiemi okrzykami, wyjąc „hura“, poczęli się tłoczyć do wagonów, by jak najprędzej zająć miejsca. Przełamano kordon żołnierzy i w mgnieniu oka wszystkie wagony, lokomotywa i brankard zostały zajęte przez ludzi. Na wierzchu wagonów siedziało prawie tylu pasażerów, ile wewnątrz. Przy tym szturmie do pociągów, tratowano na śmierć wszystkich, którzy padali na ziemię. Wiele kobiet, z których zdarto ubranie, siadało do wagonów prawie nago. W pociągu, w którym pomieścić się może zaledwie 2.000 osób, zasiadło około 15.000 pasażerów. Wojsko, otrzymawszy posiłki, wystąpiło przeciwko tłumowi i z dobytemi bagnetami natarło na pociąg. Opróżniono wagony i zażądano od natarczywych pasażerów by okazywali przy wsiadaniu certyfidaty urzędowe.

I znów zaczął się tłok przy wagonach, do których tym razem dostało się około 12.000 ludzi! Za pierwszym pociągiem przybył drugi i przy nim powtórzyły się te same sceny.

Gdy pociągi dochodziły do stacji Perry, rozległy się strzały armatnie, powitane ogólnem „hura“, gdyż był to znak, iż okolica irokezów czeka na przyjęcie nowych mieszkańców. Jak poprzednio wszyscy chcieli być pierwszymi prrzy wsiadaniu, tak też każdy starał się, jak najspiesznlej wysiąść. Mimo to nawet pasażerowie, którzy wyskakiwali, gdy pociąg jeszcze nie stanął, nie byli pierwszymi kolonistami w tych stronach. Kilkudziesięciu kolonistów, posiadających doskonałe konie, wyprzedziło lokomotywę i pozajmowało najlepsze kawałki ziemi, zanim zdążyli pasażerowie, jadący koleją.

Pociągi przepełnione ludźmi, kursowały co kilka minut. Pomimo wilgotnej pogody, ze wszystkich stron unosiły się kłęby kurzu. Pomiędzy kolonistami, przybyłymi konno, znajdowała się znaczna liczba kobiet, ubranych po męzku.

Z początku służba kolejowa próbowała sprawdzać certyfikaty, nie mogąc, jednak, dać sobie rady z napływem podróżnych, poprzestała w końcu na rewidowaniu biletów. Na kolejach południowych, wiodących do Cowley-County i Arkanzas-City, działo się nielepiej. Nad rzeką Chilocco-Creck, która z powodu stromych brzegów w niewielu tylko miejscach jest możliwą do przebycia, zgromadziły się tłumy ludzi. Wielu jeźdźców odważyło się na czyn szalony. Skakali na koniach z wysokości ośmnastu stóp, przepływali rzekę i następnie starali się, często nadaremnie, wydobyć się na brzeg przeciwległy, również bardzo spadzisty.

W Blackwell, w ogólnej bójce o jakiś cenny szmat ziemi zginęło pięć ludzi, a pewien przedsiębiorca pogrzebowy, dowiedziawszy się o tem, wysłał niezwłocznie kilka partyj trumien.

W dzień poprzedzający otwarciu siedzib irokezów kilku „zoonerów“, t. j. ludzi, którzy włóczyli się tam przed terminem naznaczonym przez rząd, zabili żołnierze, gdyż na ich wezwanie nie chcieli się zatrzymać.

„Zoonerowie“, porozumiawszy się z sobą nie chcieli pozwolić osiedlać się nowym przybyszom na ziemiach irokezów. Przy tej okazji pozabijano i pokaleczono mnóstwo ludzi.

Nowozałozone w tej okolicy miasto Perry liczy już przeszło 25.000 mieszkańców. Pola w około miasta nowi osadnicy nabywają, jako place pod budowę kamienic i płacą ceny bajeczne. W Perry wychodzą obecnie trzy pisma codzienne i pięć tygodniowych. W ciągu paru dni powstał tam także bank. Wielu osadników doznało rozczarowania, gdyż okolica, zamieszkała do niedawna przez czerwonoskórnych, posiada mało wód, przy tem indjanie, wynosząc się, wzniecili w prerjach straszny pożar, który szerzy się tak gwałtownie, iż koloniści muszą często pozostawiać na pastwę płomieni dobytek cały i ratować się ucieczką na koniach.

Wszędzie znajdują codzień trupy ludzi, których nikt nie zna nazwiska. Zdaje się, iż za pobyta irokezów nie działy się w tych stronach sceny tak ohydne i tak straszne zbrodnie, jakich widownią jest obecnie ta okolica przez „cywilizowanych“ już zamknięta.

Od ręki.

= Z Ameryki.

W stanie New-Jersey są Zborowscy, potomkowie owych Zborowskich, którzy po ścięciu Samuela Zborowskiego za panowania Stefana Batorego przybyli oo Ameryki. Nie mówią oni po polsku, ale wiedzą o pochodzeniu swem — szczycą się niem i mają wielkie współczucie dla Polski.

= Szybkość na poczcie.

Dla szybszej obsługi pocztowej, wydano w Anglji rozporządzenie, aby listy wrzucane do skrzynek o jakiejbądź godzinie, były wyprawiano natychmiast wedle adresu. Wszystkie pociągi osobowe, a nawet towarowe, przyjmują korespondencje. Skrzynki pocztowe w mieście otwierane są co kwandrans. W wagonach tramwajowych od niedawna zaprowadzono skrzynki, z których listy przeworzą do biur pocztowych.

= Z New-Yorku donoszą:

Niewielka kolonja polskich żydów przyjechała tutaj okrętem Myrsala. Twierdzą oni, że z Argentyny, dokąd ich był wysłał baron Hirsch, wypędziła ich plaga szarańczy. Powiadają oni dalej, że, gdy przed czterema laty opuścili Polskę i do Argentyny wywędrowali, nabyli tamże kawał kraju. Krajowcy nie bardzo chętnie ich przyjęli, lecz, gdy szarańcza przyszła i całe żniwo pożarła, zdecydowali się do Europy wrócić. Wprzód, jednak, chcą probawać tutaj w Stanach Zjednoczonych, na życie sobie zarobić.

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Ciąg dalszy — patrz numer 27).

II.

Nędznym wózkiem, zaprzężonym w wychudłe szkapy, jechał tymczasem mozolnie pod górę do pałacu Germana, wioząc ze sobą różne lecznicze przybory, które, o ile mniej więcej przewidywał, przy chorym ogrodniku mogły mu być potrzebne. Wziął z sobą także i lekarstw kilka na chybił trafił, w Pastro bowiem istniała apteka bez aptekarza. On sam ją założył i sam w niej rządził.

Miarkując po wszystkiem, nic innego nie przypuszczał nad to, że tęgi, krwisty, kipiący zdrowiem ogrodnik, apopleksją tknięty został...

Woźnica nie wiele go umiał objaśnić o stanie swego pana, wciąż tylko biadał ogromnie nad tem, że ta niegodziwa choroba teraz właśnie go napadła, gdy jak raz najwięcej sił i zdrowia było mu potrzeba. Rodzina jaśnie państwa właśnie dziś zjechać ma na zamek, starania przeto koło służby jaką pełni, powinne być zdwojone, a tu jak na złość, ani ręką, ani nogą nie będzie mógł, biedaczysko, ruszyć.

Wiadomość o przybyciu hrabiowskiego domu puścił Marko mimo uszu; dopiero przejeżdżając koło zamku, poroztwierane okna i balkony, czego jeszcze nigdy niewidywał, zwróciły jego uwagę i nasunęły myśl, że jednak z przybyciem państwa pewno inne życie zawrze w Pastro, a jeśli są to ludzie dobrzy i rozumni, to może i biedna ludność miejscowa coś na tem skorzysta.

Minęli główny dziedziniec zamkowy i stanęli przed bramą podwórza, na którym stały zabudowania dworskie.

Żona chorego wybiegła naprzeciw doktora i z płaczem zaczęła mu opowiadać o mężu.

— Niech się pani uspokoi, nie trzeba się zbytecznie przerażać — uspokajał ją Germana, sam własnym słowom niewiele dając wiary. — Często nagłe choroby są właśnie najłatwiejszo do uleczenia.

— Nie takie jak ,a — odparła ze stłumionem łkaniem nieszczęśliwa kobieta,

— Cóż właściwie jest pani mężowi? — zapytał Germana, wstępując do domku

ogrodnika, położonego w przyzwoitej odległości od hrabskiego domu.

— Albożja wiem, co mu jest? Jak najweselszy, zdrowiuteńki pracował nad przyozdobieniem zamkowej cieplarni, bo jak może pan doktor słyszał, dziś właśnie państwo zjeżdżają, naraz padł bez zmysłów na ziemię i odtąd wcale do przytomności doprowadzić go nie można.

Weszli do pokoju, gdzie chory leżał.

— Tak, nic innego nie było można przypuszczać — szepnął jakby sam do siebie Germana. — Przywiozłem już nawet odpowiednie przybory lekarsswa.

Przystąpił do pacjenta i jął go badać troskliwie; od kilku już godzin formująca się choroba, okazała się jednak nie tem, czego się spodziewał, to jest paraliżem, lecz miała wszelkie oznaki zaczątków zapalenia mózgu. Marko zarządził pierwsze środki zaradcze i długą chwilę spędził przy łóżku nieboraka,

Pierwsze okłady z lodu sam do rozpalonej głowy mu przyłożył i surowo nakazał stale co pięć minut je zmieniać.

— Co najgorsza — wyrzekała zrozpaczona ogrodniczka — to że dziś właśnie mąż miał powitalnem wystąpieniem przyjmować panią hrabinę, która po śmierci hrabiego przybywa tu na czas żałoby z córką.

— Zaniedbanie obowiązków służby w dniu dzisiejszym nie będzie jego winą — uspokajał Marko biedna kobiecinę. — Mam nadzieję że starania nasze nie będą daremne...

Nie miał on wielkiej nadziei utrzymania pacjenta przy życiu. Oczywiście obaw swoich nie chciał okazywać ogrodniczce, ale i otuchy zbyt pewnej nie chciał jej sercu dawać, ażeby po tem rozczarowanie tem boleśniejszem nie było.

Pożegnał przygnębioną kobietę i udał się piechotą na główny dziedziniec zamkowy, gdzie bryczkę zostawił, ażeby chorego nie niepokoić turkotem kół. Na dziedziniec główną bramą wjeżdżał właśnie czterokonny wspaniały ekwipaż, wiozący dwie w podeszłym wieku zawoalkowane damy; za nim podążał lekki wolant odkryty, w którym zajmował miejsce poważny, siwowłosy mężczyzna, a obok niego młoda panienka w żałobie, z twarzą piękną jak anioł.

Germana pospiesznie wskoczył na wózek. Wynędzniałe szkapy ledwie trzymały się na nogach; całość ubogiego tego wehikułu wogóle dosyć pocieszne musiała czynić wrażenie, bo gdy Germana przed przejeżdżającymi zlekka kapelusza uchylił, na twarzy siwego pana, a osobliwie na anielskim licu młodej panny pojawił się zupełnie nie anielski uśmiech politowania, z przymieszką wcale nie ukrywanej protekcjonalności.

Marko nie mógł sam przed sobą utaić że spotkanie to i sposób, w jakij się ono odbyło, zupełnie mu do gustu nie przypadło. Przy skromnych środkach posiadał on bardzo skromne wymagania, śmiesznością jednak nie rad był się okrywać. Zabolało go lekceważenie, jakie wyczytał na twarzach członkow hrabiowskiej rodziny i spochmurniały, niekontent z siebie siedział w trzęsącym wózku, pogrążając się wcale w niewesołych myślach.

Wspomniał na list do markiza del Sagora, miał go jeszcze w kieszeni, spiesząc do chorego, zapomniał wstąpić na pocztę. Była więc jeszcze pora zniszczyć odmowną odpowiedź i przyjąć świetną propozycję przyjaciela.

Zmyśli tej jednak sam się uśmiechnął i wzruszył ramionami nad sobą. Jakto! Miałżeby być tak słabym, jak chorągiewka chwiejnym, aby jeden, bezmyślny uśmiech pustej, młodej dziewczyny miał wpłynąć na cofnięcie tak poważnego, gruntownie obmyślanego postanowienia, jakie już uczynił? Nigdy! Wszystko lepsze od wstydu przed samym sobą.

Przejeżdżając obok poczty, kazał stanąć i własnoręcznie list do puszki wrzuciwszy, z lżejszem już sercem powracał do domu i gdyby nie pewna obawa o stan groźnie chorego pacjenta, czułby się nawet wesołym.

Kazał podać wieczerzę, przy której zauważył, że Elia ma podpuchnięte oczy od płaczu. Przypisał to wspomnieniom dawnych dziejów i wcześnie udawszy się na spoczynek, noc całą przespał krzepkim i posilnym snem.

Nazajutrz pogoda była prześliczna. Nim wstał od śniadania, bryczuszka ogrodnika stanęła już przed jego domkiem. Marko chwili nie tracąc, pospieszył do chorego. Woźnica na pytania, jak się jego pan miewa, odparł, iż jednakowo, tak jak wczoraj żdaje się nie gorzej. Wiadomość ta uspokoiła cokolwiek Germana.

Z rostargnieniem spoglądał na cienisty park, do którego coraz bardziej się zbliżali na krętą drogę, wiodącą dość stromo pod górę, a umysł jego pogrążył się całkowicie w dumaniach nad ulubionym przedmiotem, nad nauką, której całe swe życie poświęcił, w sercu zaś czuł wzbierający zapał do niesienia pomocy cierpiącym ludziom.

Gdy wózek dosięgnął szczytu wzgórza, jednym rzutem oka ogarnął Marko całą Pastrę. Był to rodzaj parowu, otoczonego nagiemi, ponuremi skałami; nędzne lepianki porozrzucane cezładnie, niewiele wokoło siebie miały zieloności, a białawy kurz z pod kół bryczki, pomimo jasnych przypiekających promieni słońca, niby mgła zasłaniał całą panoramę. Dalej dopiero, w górze piętrząca się, świeża i wilgotna od porannej rosy zieleń zamkowego parku, rozlewała ożywczy aromat dokoła, wabiąc cieniem i chłodem.

Na głównym dziedzińcu zastali ruch i niezwykłą krzątaninę. Służba zamkowa rozpakowywała właśnie wozy z resztą rzeczy i pracowała nad roznoszeniem icp do różnych części zamku. Śmiechy, wesołość, grube żarty, krążące między gromadką służby, stanowiły bijący kontrast z myślami ooktora i z celem jego przybycia.

Znów, tak jak dnia poprzedniego, kazawszy stanąć woźnicy przed furtką, wiodącą na folwarczne podwórze, zeskoczył z bryczki i pieszo doszedł do domku ogrodnika.

Tu panowała grobowa, posępna cisza.

Germana zastał pacjenta w lepszym nieco stanie. Gorączka opadła cokolwiek, jak zwykle z rana. Marko rad był temu, bo jakkolwiek nie było to wpradzie żadnym stanowczym objawem polepszenia, na którymby można było śmiało budować nadzieję ratunku, to jadnak już sam fakt, że choroba tak gwałtowna nie zrobiła jeszcze postępu, mógł lekarza na razie zadawalniać.

Zarządził nowe leki, zmienił system okładów i oświadczył, że poczeka z godzinę przy chorym, aby spokojniej do domu powrócić. Posiedział czas jakiś przy łóżku pacjenta, poczem ogrodniczka namawiać go zaczęła, aby się przeszedł po niewielkim ogródku, w pośrodku którego stał ich domek.

Z ochotą usłuchał tej rady, ogródek ten graniczył bezpośrednio z zamkowym parkiem, którego zaciszne klomby takim nieodpartym urokiem wabiły doktora, że sam nie wiedząc jak i kiedy przestąpił granicę i zapuścił się w jego czarowną gęstwinę

Krocząc coraz dalej w głębokim zamyśleniu, stanął naraz jak wryty, usłyszawszy tuż przed sobą dwa głosy: męzki i żeński, rozmawiające z ożywieniem i z pozakrzewów, gdzie stał ukryty, ujrzał piękną pannę w żałobie, oraz jej poważnego towarzysza, których wczoraj widział przejeżdżających wolantem.

Sam niewidziany, śmiało się przypatrywał spacerującej parze i, chcąc nie chcąc przyznać musiał, że hrabianka jaśnieje niemal fenomenalną urodą. Zachwycony, porównywał ją do nimfy, ondyny lub jakiegobądź innego leśnego bóstwa z mytów starożytnych. Było to dziewczę w miarę wysokie, powiewne i smukłe, a ślicznie zbudowane: kibić miała pełną wdzięku, rysy klasyczne, cerę okraczoną zdrowym rumieńcem, oczy gwiaździste, wesołe swobodne. Niekiedy tylko, na purpurowych, jak granaty ustach, pojawiał się ów nawpół ironiczny, nawpół lekceważący uśmiech, którym wczoraj młodego lekarza, może i bezwiednie, tak bardzo uraziła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

U malarza.

Siedział artysta w głębokiej zadumie,]
Gdy stanął przed nim młodzian zakochany
I tak doń rzecze: pan malować umie...
Zrób mi pan portret mojej ubóstwianej.
Niechaj ma oczy o barwie błękitu,
O, bo jej oczów barwa z nieba wzięta
W cichą godzinę rannego przedświtu;
Niech z oczów patrzy jej niewinność święta —
Jak u aniołów w obrazach, z kościółka...
Usta zrób słodkie, złożone w uśmiechu,
Żeby z tych ustek na obrazie pszczółka
Mogła pić słodycz — jak w róży kielichu...
Niech włosy złote spływają z jej głowy;
Szyjkę zrób białą, jak mają łabędzie;
Kolor policzków na maluj różowy...
A jej sukienka niech mi czystą będzie...
Niechże aniołów wszystkiem przypomina, —
Tylko jej nie daj skrzydeł na ramiona,
Bo jak poczuje skrzydła cherubina —
To z tego świata nleci mi ona!

Malarz przyrzeka, że kiedy maluje,
Zawsze na wszystko, jak najlepiej baczy;
Jednak nakoniec gościa zapytuje —
I gdzie, i kiedy model swój zobaczy...

A młodzian westchnął i milczący, smutny,
Sam sobie stawiał pytanie złowieszcze —
Czy mu pozwoli los srogi, okrutny,
Choćby raz w życiu zabaczyć ją jeszcze...

Kazimierz Kalinowski.

Rachel.

Arsène Houssaye kreśli w swych wspomnieniach następujący portret głośnej artystki francuskiej, panny Rachel.

Panna Rachel, owa wielka Rachel, była jedną z najmilszych istot na świecie. Wiktor Hugo lubił zawsze opowiadać o pierwszem spotkaniu z nią na placu Royale, gdzie przyszła tragiczka śpiewała piosnki uliczne. Działo się to w czasach, gdy Esmeralda budziła zachwyt powszechny. Wielki poeta sądził, że w małej dziewczynie, hojnie obdarzonej od na-

tury, znalazł bohaterkę „Notre Dame de Paris“. Jeżeli mamy wierzyć Racheli, Wiktor Hugo, gdy skończyła śpiewać, rzekł, dając jej sto su: „Lubię bardzo aktorki uliczne“. Rachel pocałowała go wówczas w rękę, gdyż wiedziała, że ten który ją pochwalił, był wielkim poetą i prosiła, by jej napisał piosenkę. Wiktor Hugo wyjął z kieszeni kartkę papieru i podając ją Racheli rzekł: „Masz piosenkę moje dziecko, śpiewaj ją na starą nutę. Przepadam za takim śpiewem“. Nachylił się, pocałował Rachel w czoło i oddalił się spiesznie, unikając spojrzeń ciekawych przechodniów. Rachel zbladła. „Saro, ozwała się do siostry, czy nie dostrzegasz korony na mej głowie? „Nie, odparła Sara, to nie korona — to aureola!

*

Sporo lat upłynęło od tej chwili. W kawiarni Foye w Paryżu obiadowali razem Augier, Teofil Gautier i autor wspomnień o Racheli Arsène Houssaye, który towarzyszom pokazał list od chorej panny Rachel, pisany z Montpellier.

— Gdybyśmy ją odwiedzili, co na to mówicie? — ozwał się nagle Augier. — Propozycja została przyjętą i nazajutrz całe towarzystwo udało się w podróż. Miejscowość w której zamieszkała Rachel, sprawiała urocze wrażenie. Zdawało się, że mamy przed oczyma krajobraz Poussim. Wokoło roztaczała się płowa równina, a nad nią błyszczał czysty lazur nieba. Mimowoli udzielało się nam wrażenie spokoju i słonecznej pogody. Rachel zastaliśmy spoczywającą pod parasolem egipskim. Na nasz widok blada jej twarz okryła się rumieńcem, jej małe ręce wyciągnęły się do nas, a oczy zabłysły gorączkowo. Przywitano się dyskretnie, by oszczędzić wzruszeń chorej.

Uradowana naszem przybyciem, Rachel zaprosiła nas na śniadanie, przygotowane w winnicy. Pomimo smutku, jaki budziła w nas blada twarz artystki, staraliśmy się być wesołymi. Podano wino. Przy pierwszym kieliszku Teofil Gautier zaimprowizował wspaniały hymn. Trudno opisać urok tego śniadania, zaimprowizowanego w otoczeniu natury i w gronie osób, związanych szczerą przyjaźnią. Było to ostatnie wesołe śniadanie Racheli. Nazajutrz wesołość znikła. Śmierć, której widmo usunęło się na parę godzin, powracała, by krążyć około sławnej artystki. Rozmawialiśmy o powrocie Racheli na scenę „Komedji francuskiej“.

— Mówicie o powrocie — odparła smutnie — a jeśli umrę?

Mimo to, widać było, iż nie przypuszcza że umrzeć może.

Rozstaliśmy się, naznaczając rendez-vous“ w „Komedji francuskiej“. Istotnie, spotkaliśmy się w Paryżu, lecz na Père-Lachaise.

Na cmentarzu „wielki“ rabin, odmawiający nad trumną Rachel psalmy, uszczęśliwiony, że ma u swego boku barona Rotszylda, szepnął do niego podczas pauzy: „Doskonale zrobiłem, żem sprzedał akcje „Credit mobilier“ — był wielki czas po temu; spadły o sto franków!“

Czemu?

Czemu mi w myśli dziwne mary stają
I spokój mącą?
Czemu mi w skroniach wszystkie żyły grają
Siłą palącą?

Czemu, choć każą pełzać ślimakiem
Rwę się do lotu,
I chciałbym bujać swobodnym ptakiem
Wśród burz łoskotu?

A gdy rozpaczam, czemu na nowo
Wracam do życia,
I pieśń mą dalej nucę grobową
Wśród wichrów wycia?

Nie rzucam lutnię z gniewem od siebie,
Choć szydzą podli?,
Lecz myślą krążę po marzeń niebie,
Gdzie duch się modli...

* * *

Oto psychicznych zagadek roje
Życia problemu...
Lecz je rozwiązać nad siły moje...
Więc pytam: Czemu?!

Zdzisław.

Teatr — koncerta — widowiska.

Nie pamiętamy we Lwowie tak, poprostu, imponującego debiutu, jakim były występy panny Strassnerówny na lwowskiej scenie w operze: *Rycerskość wieśniacza.* Debiutantka śpiewała Santuzzę z taką siłą wokalną, ekspresją dramatyczną i temperamentem artystycznym, że wykonania tej partji pozazdrościć jej może śpiewaczka daleko posunięta w karjerze, sławie i rutynie. Piękny, duży, metaliczy głos sopranowy o brzmieniu, niemal, altowem w niskich tonach, inteligencja artystyczna niezwykła, gra aktorska pełna siły, odznaczająca się przytem swobodą i zmysłem estetycznym, rysy sceniczne, wydatne, piękne, postawa ujmująca, smukła, wszystko to składa się na śpiewaczkę pierwszorzędną. Panna Strassnerówna jest lwowianką — oprócz we Lwowie, uczyła się w konserwatorium w Pradze. Santuzzę śpiewała po polsku z wielką precyzją i poprawnością językową. Nic więcej już pannie Strassnerównie nie pozostaje, jak powiększać swoj repertuar, a ze względu na naturę jej głosu, powinien on być bardzo obszerny.

W tych dniach dawano na lwowskiej scenie jednoaktową krotochwilę p. Ruszkowskiego p. t. *Bonuś prezesem.* Jest to lekka i w tonie bardzo umiarkowanym trzymana satyra na pożądliwość godności dość silnie grasującą w sferach mieszczańskich Rzecz napisana zręcznie i ze znajomością warunków scenicznych. Wyborna gra artystów ożywiła i umydatniła wszystkie sceny krotochwili. Sam autor grał wybornie Bonusia, a pełna życia i temperamentu gra p. Walewskiego w roli doradcy Bonusia, przyczyniła się niezwykle do koloryzacji tego obrazka. Inne role równorzędne pod względem znaczenia w sztuce, odegrane zostały doskonale przez panie Gostyńską i Czaplińską, oraz panów: Woleńskiego, Jaworskiego i Kliszewskiego.

Hrabina de Fontenay tem się przedewszystkiem odznacza, że należy do tych bardzo nielicznych sztuk francuskich, w której znajdują się aż dwie uczciwe kobiety... Wprawdzie, jedna z nich coś tam przedtem przeskrobała, druga nie wytrzymała do końca i naruszyła w rezultacie cudzego męża—ale zawsze w dzisiejszem społeczeństwie francuskiem opaskudzonem przez Panamę i oślinionem przez moskali, to i tak moralność, na którą trzeba zrobić wielkie oczy... *Hrabina de Fontenay*, jest przeróbką z powieści *Ostatnia miłość* — obydwóch jest autorem Ohnet. Czy powieść jest dobra, nie wiem, bom jej nie czytał, ale, że dramat wykrojony z niej, jest najzupełniej liche i nudny — to nie ulega wątpliwości. W handlu znane firmy sprzedają dobrze, bardzo często, zły towar — w literaturze to samo, a we francuskiej scenicznej, to się tak dzieje, jak z masłem na rynku: jest w niem bardzo wiele rzeczy, ale najmniej masła..

Śmiesznem jest nawet, a poniekąd zakrawa na drwiny, taka budowa sztuki, jak ta *Hrabina de Fontenay*: trzy osoby działające, a resztę można wyrzucić za okno i nikt nie spostrzeże, iż czegoś brakuje... Ten za kulisami teatr amatorski, te za kulisami wyścigi jakieś, kostiumy, toalety — wszystko to ma tyle związku z samym dramatem, ile miłość z chrzanem... Gdyby który z polskich autorów napisał taką *Hrabinę de Fontenay*, to by mu jej nie przedstawili, a gdyby sam będąc hrabią, zatem „urodzonym“ autorem dramatycznym, wyszedł z tak napisaną sztuką na scenę — to ta *Ostatnia miłość* nie w sercu, lecz kością w gardle by mu stanęła...

Ohnet..., a no, ma się rozumieć, jak Ohnet to kilkadziesiąt łokci jedwabiu, koronek, sznury fałszywych brylantów, tuzin białych krawatów, rezonujący dyplomata o niczem i sakramentalny notarjusz prawie zawsze rodzaj francuskiego eunucha, wystarcza, aby jakoś tam zrobić „sztukę“ z sosem małżeńskiej niewierności, zdrady, czy coś podobnego...

Wobec tego, cóż mamy pisać o grze artystów? Właściwie były tylko trzy role: hrabiego, hrabiny i amerykanki — resztę, wszystko jedno, kto grał, jak grał i po co grał... Najgłówniejsza rola i to z trucizną i ze śmiercią na scenie, dostała się pani Nowakowskiej — grała ją świetnie, a toalety miała wspaniałe. Te ostatnie, tak u pani Nowakowskiej, jak i u innych artystek robiły większe wrażenie, aniżeli *ostatnia miłość*, która, wiadomo, najwięcej ma z toaletami do czynienia... Amerykanką była pani Żelazowska — rola to dziwnie — dziwna, bo cóż to za kobieta, ta Łucja — jakaś ryba amerykańska w francuskim sosie na słodko... Tylko niepospolity talent pani Żelazowskiej, jej gra subtelna i pełna godności kobiecej sprawiły, że postać Łucji, jako rysunek aktorski, interesował i zasługuje na największą pochwałę krytyki, co się zresztą, wyraziło, w pięknym bukiecie ofiarowanym artystce po drugiem akcie.

Hrabiego grał pan Żelazowski. Nikt bardziej nie uwielbia talentu pana Ż. i dlatego, najszczerzej wyznajemy, że szkoda takiego dużego talentu artysty na taką marną autorską postać, jaką jest hrabia de Fontenay.

Gromadka innych ról, banalnych, nie mających żadnego znaczenia, ani w sztuce, ani charakterystycznej, epizodycznej, choćby wartości, nie zasługuje na bliższą ocenę.

Nowo zaangażowany do naszej opery bas p. Kowalski, o którym już wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów — co raz więcej zyskuje uznania i sympatji dla swego dobrze ustawionego, jasnego i obszernego głosu. Występy tego śpiewaka w *Łucji* i w *Strasznym dworze* spotkać się muszą z niepodzielnemi pochwałami i są dowodem, że opera polska pozyskała w panu Kowalskim dzielnego i utalentowanego śpiewaka. Pan Górski dobrze odśpiewał Miecznika w *Strasznym dworze.*

Stara, ale jara, można powiedzieć o znanej na wszystkich scenach od dawna komedji Labiche'a: *Skarbonka*, którą w tych dniach wznowiono u nas. Mimo, jednak, „jarości“, *Skarbonka* się już postarzała, a co gorsza, dawniej, tu we Lwowie, graną była żywiej, szczciej, tak, że wybuchy śmiechu goniły jedne za drugimi — dziś, gra artystów, w ogóle, szła ociężale i sytuacje, lub djalogowanie dowcipne i szybkie, zanadto rozwlekało się i powtarzało. Uchwycenie, jednak, postaci było dokładne, a sama gra artystów, sumienna i utalentowana. Z dawnej obsady, został tylko p. Fiszer — wybornie grający małomiasteczkowego dygnitarza. Przepysznie się ucharakteryzował i grał doskonale p. Ruszkowski. Dobrym dzierżawcą był pan Feldman. Mniejsze role starannie odegrali panie: German i Siemaszko, oraz panowie: Dębicki, Wysocki, Gasiński, Walewski Wostrowski i inni.

Soboty w każdym tygodniu przeznaczyła reżyserja teatru lwowskiego na przedstawienia dramatów i komedyj wznowionych z repertuaru klasycznego, zaś poniedziałki, lub środy przeznaczone są na sztuki po raz pierwszy przedstawiające, tak nazwane, bardzo ładnie po polsku, *premiery*

W ubiegłą sobotę dawano więc komedję: *Kupca weneckiego*, w której tytułową rolę grał p. Fiszer. Gra pana Fiszera w tej ulubionej jego roli, znana jest od dawna i niejednokrotnie pisaliśmy o niej. Jako o grze nacechowanej niepospolitym talentem i inteligencją artystyczną — poprzestać więc musimy na tej wzmiance dodając, że wszyscy biorący udział w tej sztuce Szekspira artyści, grali bardzo starannie i wystawa cała, oraz reżyserja, zasługują na zupełne uznanie. Niestety, w teatrze były pustki.

Ciekawe rzeczy.

Jak się robi igła. Najpierw, ze sztaby stalowej trzeba zrobić drut. Potem drut nawija się na bębenki drewniane tak, jak nici do maszyny są nawijane, a wtedy robotnik rozcina bębenek z drutem i otrzymuje dużo kawałków drutu jednakowej długości. Następnie niosą te kawałki drutu do maszyny, która je znów kraje na kawałki takiej długości, jakiej długości mają być igły. Ztąd idą do innej maszyny, a ta je prostuje. Gdy są kawałki drutu wyprostowane, przechodzą do szlifierza, a ten je z dwóch stron ostrzy. Te kawałki zaostrzone przechodzą do robotników innych i ci z jednego końca młotkiem spłaszczają osteza, a w każdym spłaszczeniu wy-

bijają po dwie dziurki na uszka. Od nich niosą igły do innej sali. Tam przecinają każdy drut na dwie części i robią dwie igły. Lecz jeszcze nie koniec. Zaostrzone i mające już uszka igły, zanoszą do hartowania, ztamtąd znów do robotników, gdzie uszka wygładzają, aby nie były za ostre, potem tam gdzie le czyszczą, składają na tuziny — pakują i wywożą na sprzedaż. Każda igła musi przejść przez 100 robotników, w niektórych fabrykach angielskich na jeden tydzień 100 milionów igieł wyrabiają.

Najdawniejszą gazetę na świecie wydawali rzymianie na 168 lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa. Tytuł jej: „Acta populi romani diurna". O ile wnioskować można z jednego zachowanego do tej pory numeru, treść gazety niewiele różniła się od tego rodzaju dzisiejszych wydawniatw. W dziale wiadomości miejscowych np. czytamy: 22. marca konsul Livinus pełnił dziś swe obowiązki. Po południu srożyła się wielka burza. W pobliżu pagórka Weli piorun uderzył w dąb i strzaskał go. W szynku „pod niedźwiędziem" w pobliżu góry Janusa, wydarzyła się bójka. Szynkarz ciężko raniony. Tytanius nałożył karę na rzeźników za sprzedaż ludności mięsa nierewidowanego przez władzę. Wekslarz Ausydjusz, właściciel sklepu „pod tarczą Cymbów", uciekł z miasta ze znacznemi sumami pieniędzy. Goniono go i złapano. Zmieniwszy nazwiska osób, te same wiadomości możnaby od biedy umieścić w każdym dziś we Lwowie i w Paryżu wychodzącym dzienniku.

Praktyczne wiadomości.

Sztuczna śmietana. Na najrozmaitsze pomysły wpadają ludzie, by odtłuszczonemu mleku nadać znów pewien rodzaj tłuszczu i uczynić je zdatniejszem, bądź na paszę dla inwentarza, bądź na inne przetwory, szczególniej sera. Przy pomocy przyrządów, nazwanych emulsorami, wtłaczają oni w mleko odtłuszczone inne zupełnie tłuszcze roślinne, jak: olej z siemienia bawełnianego, z orzecha kokosowego i t. p. a z tych połączonych surogatów wyrabiają sery, które w handlu niewłaściwą dają nazwę serów śmietankowych.

Aptekarz G. Dierking we Waren, w Meklenburgji, wpadł na pomysł wytwarzania tak zwanej sztucznej śmietany, by zapomocą niej mleku odtłuszczonemu nadać większą pożywność, celem tuczenia cieląt. Centnar tej sztucznej śmietany sprzedaje on po 25 marek. Jestto mleszanina, jak D. twierdzi, czystego płynnego tłuszczu z klejowatymi łącznikami; łączniki te odbierają tłuszczowi właściwość oddzielania się od innych płynów, z którymi bywa mieszany. Taka mieszanina raz dodana do odtłuszczonego mleka, pozostanie w niem w ścisłem połączeniu. Emulsja ta zawiera 50 procent czystego tłuszczu (oleju rzepiowego; na zamówienie dostarcza się innego tłuszczu) i 50 proc. materyj łączącej, klejowatej. Kto tym dodatkiem mleko odtłuszczone znów chce stłuścić do 3 do 3 i pół procentu tłuszczu, ten winien brać na 1 litr mleka odtłuszczonego (= 1000 gr.) 60—70 gramów tej sztucznej śmietany. Celem dokładnego odmierzenia jednostajnego, bierze się porcelanowe naczynie z umieszczoną na niem podziałką, które nabyć można w składach porcelany. Mieszaninę tę dobrze należy zmieszać a pozostanie jednostajną aż do użycia. Wynalazca oświadcza, że praktyczność tej sztucznej śmietany poddaje pod sąd doświadczonych rolników. Może sposób ten okaże się praktycznym, a może też to tylko reklama, by dużo u niego zamawiano.

Różne sprawy.

Galicyjski Bank kredytowy. zwraca uwagę posiadaczy $4^1/_2\%$ skonwertowanych listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego, aby po odbiór deflty wnych 4% sztuk 56 letnich zgłaszali się bezzwłocznie w godzinach urzędowych do kasy galicyjskiego Banku kredytowego, tem bardziej, że z dniem 20 grudnia b. r. ze względu na zamknięcie rachunków konwersyjnych z Towarzystwem kredytowem ziemskiem — wymiana zastanowioną zostanie, a dopiero po 10. stycznia 1894 na nowo podjętą będzie.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan I. we Lwowie Wiersze pańskie: „Do szczęścia", „Pedantowi", „Do Plagji", „Do..", — nie będą drukowane.

Panna Ksawera. Dobrze, ale później, bo teraz zaogniło się zanadto.

W. D. R. w K. Nie mamy miejsca na takie rzeczy.

N. N. w New-Yorku. Podobno był jakiś czas factotum przy panu Jerzmanowskim, ale nie wiemy, co się z nim stało.

Nadesłane.

W tych dniach mieliśmy sposobność oglądać skład fortepianów, pianin, skrzypców i t. d. p. **A. Sidorowicza w Kołomyi.** Obfity wybór nowych i używanych instrumentów i nadzwyczajna taniość, dają każdemu możność korzystnego kupna, lub wypożyczania, zwłaszcza, że sam p. Sidorowicz dobry muzyk i znawca, wie, co brać i polecić. — Dla tego też instrumenta ze składu p. Sidorowjcza rozchodzą się nie tylko po Galicyi, ale nawet po odległych prowincjach monarchji austrjackiej.

(5985-2-1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni [illegible]yjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.